

## ROZDZIAŁ I

### LOT W NIEZNANE

Kadłub samolotu znów zadrżał, a nad głowami ponownie zapalił się napis: ZAPIĄĆ PASY. „To dzieje się zbyt często, coś się chyba psuje” – pomyślała kobieta i spojrzała przez okno. Pogody na zewnątrz nie udało się ocenić, przynajmniej z perspektywy pasażera. Było ciemno, co normalne w środku nocy. Czuła się jak w studni bez dna, jak w czarnej dziurze.

– Możesz zasnąć? – dziewczyna wtulała się w ramię siedzącego mężczyzny. – Cholerne oparcie! – walnęła dłonią w wystającą poręcz fotela, która uciskała ją w żebro.

– Nawet koala by nie zmrużył oka. Wszystko się we mnie trzęsie, jakbym sunął deskorolką po kocich łbach. Wiesz, czytałem gdzieś, że nad Afryką są takie silne prądy powietrzne, że huragan to przy tym pestka. – W górze?

– Tak, przechodzą na wysokości ponad dziesięciu tysięcy metrów. Zdaje mi się, że gdy nas tak rzuciło, to było właśnie coś takiego. Od tamtej pory nie możemy odzyskać płynności lotu.

– Wiktor, przestań! To wcale mnie nie uspokaja. Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym.

Nagle samolot opadł w dół niczym winda zerwana z liny.

Trwało to sekundę, może dwie. W tym czasie pułap lotu obniżył się o kilkadziesiąt metrów.

– O jasna...! – chłopak zatkał dłonią usta, a żołądek jego znalazł się gdzieś pod językiem. – Już dobrze, ale takie skoki mnie wykończą – złapał kilka oddechów i próbował wykrzywić usta, aby choć trochę przypominały uśmiech bohatera.

– To już dwa tygodnie od naszego wesela. Jak się Czujesz w nowej roli? – spytała kobieta.

Wiktor starał się opanować mdłości. Oddychał głęboko. Próbował podkręcić jeszcze mocniej nawiew powietrza, ale się nie udało. Był już nastawiony na maksimum.

– Powiem szczerze, że bardziej odpowiedzialnie. Choć jeszcze do mnie to nie dotarło. Twój ojciec dosadnie mi zasugerował, abym się tobą opiekował.

– Tata zawsze miał bzika na moim punkcie. No cóż, jestem jego oczkiem w głowie, ale Olga nadal traktuje cię jak młodszego braciszka.

– Olga! Olga to... to indywidualność, klasyka nadopiekuńczej miłości siostrzanej. Mogłaby być prawnikiem, idealnie się do tego nadaje, a ja powinienem się zająć czymś bardziej luzackim. W końcu to ona pchnęła mnie na prawo, a sama zajęła się reklamą.

– No nie gadaj, zrobisz aplikację i będziesz miał dobry zawód.

– Tak, tylko trzeba się na nią dostać, przeżyć i zdać egzamin. Potem załapać się do kancelarii, a później, jak będzie trochę szczęścia, założyć własną i szukać, szukać klientów. Na razie rozwijamy ten biznes, na którym mamy trochę zarobku. Jak widzisz, nie wychodzimy na tym tak źle. Ludzie chętnie piją rano mleko i chrupią ciepłe bułki. Jak tak dalej pójdzie, zaczniemy dostarczać pod drzwi każdego ranka nie tylko mleko, ale i wędlinę, gazety i wszystko, czego będą chcieli. Dostawa o poranku. Jesteś w kapciach, w pieleszach? A może w piżamie? Śniadanie czeka pod drzwiami – Wiktor na poczekaniu układał slogany przydatne w działalności, jaką prowadził.

– Tylko że wstajesz o drugiej w nocy i chodzisz smętny do wieczora.

– Kochanie, hurtownie pracują właśnie o tej porze, nic na to nie poradzę. Ty przecież, jak wrócisz z pracy w banku, masz całą papirologię na głowie. A obiecałem twojemu ojcu, że dokończysz studia. Więc nie lituj się nad moim losem, twój wcale nie jest lepszy.

– Muszę się o ciebie troszczyć, abyś miał siłę na wszystko.

– Taaak. To troszcz się, troszcz – położył dłoń na jej udzie, przycisnął, aż poczuł puls. Chciał ją pocałować, ale w tym momencie samolotem targnęła jakaś siła i oboje zamarli w bezruchu.

– Mam już dość. Wujek miał gest z tą wycieczką do RPA, tylko szarpnął się nie za zbyttnio. Znalazł najtańszą z możliwych. Na samo dotarcie na wybrzeże południowej Afryki i z powrotem stracimy połowę czasu, jaki mamy na cały wyjazd.

– A chwalił się na weselu swym prezentem, jakby to miała być podróż do raj. Lidka, masz wspaniałego wuja. To nic, że znalazł najtańsze w Niemczech biuro podróży. Sam fakt, że lecieliśmy z przesiadką we Frankfurcie, to widocznie dla niego już coś znaczącego. Docień i korzystaj – delikatnie poklepał dłoń ukochanej.

– Wiktor, zobacz! – szeroko otwarte oczy dziewczyny wpatrywały się w okienko samolotu.

– Pewnie światło sygnalizacyjne... chyba – mężczyzna próbował wyjaśnić, co to za błyski odbijają się luną od skrzydeł maszyny.

Drżenie kadłuba wzmagalo się, a wstrząsy sprawiały wrażenie, że tylko jakaś magiczna siła trzyma wszystko w kupie.

– To dlatego, że siedzimy na samym końcu. Jak chcesz, przesiądziemy się gdzieś bliżej. Jest parę wolnych miejsc.

– Nie, przynajmniej lecimy sami, tam też na pewno nie jest lepiej – odpowiedziała Lidka.

Napis: ZAPIĄĆ PASY migał bez ustanku. Samolotem targała kolejna fala wstrząsów, drgań i Bóg wie, czego jeszcze. Nagle światła zgasły i nastąpiła kompletna ciemność, przerywana jedynie impulsami sygnalizacyjnego światła zewnętrznego. Po chwili i ono znikło.

– Wiktor! – palce dziewczyny wpiły się nerwowo w ramię męża.

– To tylko chwilowe, proszę się nie bać – świecąc niewielkimi latarkami, stewardessy przechodziły między fotelami i próbowały uspokajać pasażerów.

W końcu zapaliło się awaryjne oświetlenie podłogowe, a z głośnika dobył się głos: „Tu mówi kapitan. Mamy niewielką awarię systemu elektrycznego. Proszę o zachowanie spokoju, nie ma żadnego powodu do obaw. Pozostałe najważniejsze systemy są sprawne, również awaryjne. Działają bez zastrzeżeń. Przepraszamy za chwilowe niedogodności. O wszystkim będą państwo informowani na bieżąco przez personel pokładowy. Obecnie jesteśmy nad terytorium Czadu. Przelecieliśmy nad Saharą, gdzie wystąpiły silne jak na tę porę roku prądy powietrzne wywołujące turbulencje. Przewidujemy lądowanie na lotnisku w Johannesburgu za około pięć godzin.”

– Zrozumiałeś, co mówił? – zapytała Lidka.

– Dobrze, że powtarza po angielsku, bo po niemiecku ani trochę nie rozumiem.

– Mógłby po polsku, przecież leci tu trochę naszych.

– Kochanie, to niemiecki samolot, więc nie wymagaj cudów. Zresztą jak nie rozumiesz, to najlepiej obserwuj pasażerów. Póki nie wpadają w panikę – jest dobrze.

– A jak zaczną? Zimno mi.

– Chcesz koc? – Wiktor potarł ramię Lidii, przykręcił nawiew, który już nie działał, po czym rozejrzał się za obsługą.

Nikogo nie widział. Kilka osób narzuciło już koce na siebie i wyglądało na to, że z otrzymaniem kolejnego może być problem. Nacisnął kilka razy przycisk przywołujący obsługę, ale wszystko wskazywało na to, że nie działa. Odpiął pas fotela i ruszył w kierunku kokpitu. Nim dotarł do połowy drogi, z boku wyskoczyła stewardessa i stanowczo nakazała wrócić na miejsce. Na sugestie o kocu odpowiedziała coś, kręcąc przecząco głową. Już miał wracać, gdy nagły skok wysokości spowodował, że podłoga umknęła mu spod stóp i uderzył boleśnie barkiem o schowek pod sufitem. Po chwili wyczuł, że samolot z wysiłkiem próbuje się wznieść. Szybko dotarł do swojego miejsca z grymasną miną, która mówiła, że nie załatwił nic ciepłego.

Huk, wstrząs i szarpnięcie. Samolot przechylił się na lewe skrzydło i zaczął opadać.

– Co się dzieje? – oczy Lidki wyrażały przerażenie.

– Chyba nie jest tak dobrze, jak mówił kapitan.

Wiktor wczuwał się całym sobą w każde drgnienie maszyny. Chciał wniknąć swym systemem nerwowym w system czujników i aparatury samolotu. Nasłuchiwał stukotów, łomotów i wszelkich niepokojących odgłosów. Było tego jednak za dużo.

– Słyszysz? Tak jakby... Mam wrażenie, że lecimy z wyłączonym jednym silnikiem, a drugi pracuje na wyższych obrotach.

– Nie wiem, chyba dla mnie za dużo tych wrażeń. Wiktor, najchętniej wysiadłabym z tego latającego pudła.

Samolot wyrównał lot, położył się delikatnie na lewej burcie i miarowo nabierał prędkości. Po chwili ponownie z głośników pasażerowie usłyszeli głos kapitana.

– Co on mówił? – upewniała się Lidia.

– Kair! Zawracamy do Egiptu. Tam mają serwis i po drobnej naprawie polecimy dalej.

– Drobnej! Ten złom ledwo się trzyma kupy. Dalej nie lecę, z Kairu wracamy do domu.

– Kochanie, zapewne to naprawdę coś drobnego. Lepiej sprawdzić niż ryzykować. Może dadzą jakiś inny samolot.

- Ja wracam!
  - Szkoda wycieczki. Lidka, naprawią i polecimy dalej.
  - Jak chcesz, leć sam. Ja wracam. To ty chciałeś do tej zakichanej Afryki.
  - Teraz to moja wina.
  - Nie, ale tak naprawdę to ja nie lubię wyjeżdżać. Wolę być z tobą w naszym mieszkanku. Teraz byśmy sobie leżeli w łóżeczku i...
  - Ty moja sardynko. I za to cię kocham.
  - Olga, jak nas odwoziła na lotnisko, miała jakieś złe przeczucia. Próbowwała nas odwieść od tej podróży. Chciała, abyśmy razem z jej chłopakiem pojechali w góry.
  - Ona zawsze jest taka. We wszystkim widzi zagrożenie.
- Najlepiej wprowadziłaby się do nas i nadzorowała nasze małżeństwo.
- Nie mów tak. Chciałabym mieć taką siostrę.

Obaj piloci w pełnym skupieniu starali się dotrzeć do najbliższego lotniska, które mogłoby dysponować jakimikolwiek warunkami umożliwiającymi odpowiednie zajęcie się pasażerami i maszyną. Byli doświadczonymi lotnikami, a częste trasy do Afryki nauczyły ich wiele.

- Ludwig, nie dolecimy do Kairu. Nie na tym, co nam pozostało. Muszę zmniejszyć moc, bo przeciążę silnik i będziemy jak szybowiec.
- To coś nad wybrzeżem północnej Afryki nie było tylko wiatrem. Szkoda, że nie mogę przyjrzeć się z bliska uszkodzeniom. Większość systemów albo nie pracuje, albo jesteśmy na awaryjnych. Nigdy nie spotkałem się z czymś takim.
- Nawet dokładnie nie mogę ustalić, gdzie jesteśmy – stwierdził Hans. – Chyba gdzieś nad północnym Sudanem – dodał.
- Nawiąż łączność z Al-Chartumem, muszą nas przyjąć.
- Wolałbym nie tam.
- Hans, nie mamy wyboru.

Nieliczne pracujące wskaźniki dały znać o kolejnym problemie. Sytuacja stawała się trudna. Można by rzec, że nawet tragiczna. Temperatura silnika szybko wzrastała. Kapitan zdawał już sobie sprawę, że może dojść do eksplozji, toteż zmniejszył moc do minimum zapewniającego w miarę stabilny lot.

– Personel, proszę przygotować pasażerów do awaryjnego lądowania. Lądujemy w Sudanie na... na terenach pustynnych. „Chyba” – dodał w myślach.

Jak tylko personel pokładowy przystąpił do działania, kapitan w komunikacji dla pasażerów oznajmił, gdzie obecnie się znajdują. Że lądowanie, choć awaryjne, nie powinno być trudne i że tuż po nim należy opuścić jak najszybciej pokład samolotu.

Lidka po raz kolejny nerwowo wpiła paznokcie w Wiktora. Ludzie głośno rozmawiali. Jedni wyciągali coś ze schowków, inni siedzieli przerażeni, może się modlili. Oboje śledzili ten cały zgiełk ze świadomością, że sami, będąc z tyłu, nie są przez nikogo obserwowani.

– Warto było – rozmarzył się Wiktor – choć dla tych kilku chwil warto było być z tobą.

– I będą jeszcze nie tylko te. Przytul mnie.

Objął ją najczulej, jak tylko potrafił, spróbowali schylić maksymalnie głowy do kolan. Gdyby się dało, zamieniliby się najchętniej w jeden kłębek.

Samolot schodził coraz niżej i niżej. Za oknem – czarna dziura. Wewnątrz czuli, że maszyna powinna już lądować. Ale było inaczej. Wydawać by się mogło, że samolot jest tuż nad ziemią, a on jeszcze leci i leci.

„Niech to się już skończy. Gdzie ta cholerna ziemia?” – myślał Wiktor.

„Przecież lądowanie nie może trwać wiecznie. A może już nie żyjemy i tak wygląda czyściec dla tych, co spadają?”

Nagle samolot uniósł w górę kokpit, a z silników wydobyło się ostatnie tchnienie mocy. Chciał przyśpieszyć, wznieść się, ale było za późno. Pilot najwidoczniej dojrzał jakąś przeszkodę i próbował w ostatniej sekundzie poderwać maszynę, aby nad czymś przelecieć.

Uderzenie było tak gwałtowne, że pasażerami szarpnęło we wszystkich możliwych kierunkach. Przeciężenie spowodowało, że Wiktor w ułamku sekundy poczuł wszystkie kości i kosteczki. Stracił orientację. Adrenalina wybuchła w jego organizmie z taką siłą, że nie miał świadomości własnego ciała. Uderzenie, gniecenie, wstrząs, utrata jakiegokolwiek równowagi – wszystko naraz. Ponowne uderzenie – i znów to samo.

Pustka w mózgu. Zanim zrozumiał, co się dzieje, odczuł nie naturalność pozycji swego ciała. Zwisał głową w dół uczepiony na pasach od fotela. Żył, chciał otworzyć oczy, ale... miał je otwarte. Ciemność. Lidka! Co z Lidką? Trzymał ją przed chwilą tak kurczowo, a teraz nie wie, gdzie jest.

Huk eksplozji, blask ognia i uderzenie rozgrzanego powietrza. W efekcie to coś, w czym jeszcze tkwili, zmieniło swoją pozycję i szarpnęło znacząco, przypominając o bólu, który był tłumiony przyływem adrenaliny. Zrobiło się dość jasno.

– Wiktor, Wiktor jesteś? Wiktor!

– Jestem – próbował podciągnąć Lidię do siebie, ale fotel zawisł na czymś. – Odepnij pas! – krzyczał do niej.

Po chwili oboje wypełzli z czegoś, co do niedawna było ogonem maszyny. Stali obok potrzaskanego fragmentu wraku. Byli sami. Reszta samolotu po oderwaniu się tylnej części poleciała jeszcze kilkaset metrów dalej.

Wspięli się z trudem na niewielkie wzgórze, z którego rozprzestrzeniał się okropny widok. Płomienie sięgały kilkunastu metrów. Dym zasłaniał wszystko, co mogło jeszcze przedstawiać resztki maszyny. Obejrzel się za siebie. W dole widać było ocalałą część samolotu, w której przeżyli katastrofę. Dalej było kolejne wzniesienie.

– Pewnie maszyna zahaczyła o ten wzgórek – powiedział Wiktor.

W blasku ognia wydmy wyglądały jak bezkresne fale na oceanie, tylko że tu wszystko było z piasku.

– Zostań. Ja pójdę zobaczyć, może komuś trzeba pomóc.

– Nie, idę z tobą – nie czekając na odpowiedź, Lidka ruszyła.

Jeszcze przez długi czas nie mogli zbliżyć się do wraku samolotu. Duszący dym w gryzał się w gardło jak rozgrzana smoła. Krążyli wokół miejsca katastrofy. Wybuch rozrucił szczątki maszyny w promieniu kilkuset metrów. Widok był okropny: palące się i dymiące kawałki kadłuba, opon, bagaży, ciał. Nieopodal usłyszeli jęki. Podbiegli. Spod tłącego się kawałka obudowy wystawały czyjeś nogi. Po strzępach ubrania można było sądzić, że to jeden z pilotów. Oboje z trudem wyciągnęli rannego i odwlekli na bezpieczną odległość. Mężczyzna cierpiał. Z jego barku wystawała potrzaskana kość.

– Co z nim zrobimy?

– Uciskaj ranę, a ja spróbuję wepchnąć kość do środka, inaczej wda się zakażenie – zdecydował Wiktor.

Ranny jęknął z bólu i zemdłał.

– I co teraz?

– Nic, przynajmniej przez jakiś czas nie będzie czuł bólu. Poszukajmy, może ktoś jeszcze przeżył. Lidka, rozejrzyj się za czymś, co może się przydać na opatrunki, za jedzeniem. Zanim ktoś tu przybędzie z pomocą, może upłynąć wiele godzin.

– Godzin?

– To nie Ameryka, tutaj wszystko może trwać dużo dłużej...

Wkrótce oboje, wyposażeni w niewielką ilość przydatnych przedmiotów, zajęli się dokładniejszym opatrywaniem rannego.

– Co tu się stało? – usłyszeli zza pleców czyjś głos.

Wiktor poderwał się natychmiast i ujrzał stojącą nieopodal na wydmie smukłą postać odzianego w ciemną tunikę Araba.

– Katastrofa, była katastrofa – mówiąc to, chłopak próbował ręką zakreślić cały obszar z porozrzucanymi szczątkami.

– Czy ktoś jeszcze przeżył? – dopytywał się nieznajomy, nie wykonując żadnego kroku naprzód.

– Nie, raczej nie. Sprawdzaliśmy, zresztą nie wiem.

Na skinienie głowy przybyłego kilka postaci wyłoniło się z ciemności i pobiegło na miejsce katastrofy. Do Araba dołączyło jeszcze trzech mężczyzn. Podeszli wszyscy bliżej i przypatrywali się dokładnie ocalałym.

– A co z nim? – nieznajomy wskazał na rannego pilota.

– Nieprzytomny, stracił dużo krwi. Ma złamane ramię i obojczyk. I chyba obrażenia wewnętrzne.

Dłuższą chwilę wszyscy przypatrywali się poczynaniom grupy, która kręciła się wśród porozrzucanych części samolotu.

– Oni plądrują ocalałe bagaże – wzdrygnęła się Lidka.

Wiktor chciał coś powiedzieć, ale zanim to uczynił, przybysz oznajmił:

– Idziecie z nami.

– Lepiej zostaniemy tutaj, zapewne pomoc jest już w drodze.

– Nie przeżyjecie nawet jednego dnia. Nim ktokolwiek tu przybędzie, minie tydzień. Chartum jest daleko.

– Chartum! Zabierzecie nas do Chartumu? – zapytała Lidka.



Nieznajomy nic nie odpowiedział. Spojrzał tylko z pogardą na kobietę i dał znać, aby się zbierali.

– A co z nim? – zapytał Wiktor.

Arab podszedł do nadal nieprzytomnego pilota i przyjrzał się mu dokładniej, po czym rozejrzał się po okolicy i wyciągnął wbitą nieopodal w piach metalową rurę przypominającą długą laskę. W mgnieniu oka wykonał zamach i ze świstem uderzył w głowę rannego, wgniatając rozłupaną część czaszki do wewnątrz. Rannym mężczyzną targnęły drgawki. Po chwili poruszył się jeszcze dwukrotnie i skonał.

Lidka otworzyła usta, nie mogąc wydobyć słowa. Wiktor spojrzał na sprawcę okrucieństwa i zdał sobie sprawę, że każdy uzna, że śmierć tego człowieka nastąpiła z powodu katastrofy. Tylko oni byli świadkami morderstwa.

– Jemu już nikt nie mógł pomóc. Niech Allah ma go w opiece – z całkowitym spokojem Arab odwrócił się od zwłok i ruszył w kierunku wydm.

– Widziałeś, co on zrobił? – Lidia z niedowierzaniem kręciła głową, idąc z mężem za prowadzącym ich nieznajomym.

Wkrótce, za kolejną wydmą, ujrzeni w blasku księżyca orszak ludzi i wielbłądów. Na polecenie prowadzącego ich człowieka zrobiło się niewielkie zamieszanie. Poderwano siedzące wielbłądy, poprzenoszono pakunki i niebawem jedno z mniej obciążonych zwierząt było do dyspozycji gości.

– Ja mam na to coś wsiąść? – Lidka wskazała dużego wielbłąda, który klęczał nieopodal.

Arab dał im znać, że pora w drogę i nie czas na dyskusje. Karawana ruszyła. Przez jakiś czas posuwali się spokojnie, czekając na przybycie pozostałych członków grupy. Gdy tamci już dołączyli, wielbłądy ruszyły szybciej.

– Mam wrażenie, że uciekamy – Wiktor ledwo wybełkotał, uważając, aby przy kolejnym podskoku nie ugryźć się w język.

Lidka, przytulona do jego pleców, trzymała się i jego, i wielbłąda ze wszystkich sił. Zwierzak, przyzwyczajony do dźwigania ciężarów, nawet nie stwarzał wrażenia zmęczonego. Po kilkugodzinnej jeździe tempo zmalało prawie do zera. Po chwili snuli się po falach piasku. Karawana składała się z ośmiu ludzi i kilkunastu wielbłądów. Każde ze zwierząt objuczone było dużymi torbami, skórą i bukłakami. Nikt się nie odzywał. Arabowie okrzykami i bacikami popędzali wielbłądy, jeśli te zwalniały.

– Może niedługo staniemy. Tak mi się klejnoty poobijały, że czuję, że straciły na wartości – narzekał Wiktor. – Kiedy postój? – zapytał wyprzedzającego go jeźdźca.

Ten nawet nie spojrzał na niego. Popędził zwierzę na czoło karawany.

Lidia ocknęła się z półsnu i rozglądała się po okolicy. Słońce już wschodziło i czuło się z każdą minutą wzrost temperatury.

– Wszystko się we mnie trzęsie – stwierdziła. – A ten wielbłąd coraz gorzej cuchnie. Jak myślisz, długo jeszcze? Może spytasz?

– Próbowałem, jak drzemałaś, ale oprócz tego, z którym rozmawialiśmy, chyba nikt tu nie mówi po angielsku.

– Ja drzemałam? Chyba żartujesz, za skarby nie mogłabym usnąć na tym wehikule. Tak buja, że szybciej nabawię się choroby morskiej niż zasnę.

– Skoro tak mówisz... – skomentował Wiktor.

Z tyłu rozległo się zawołanie, po czym wyprawa stanęła. Kilku mężczyzn podjechało do wzywającego ich i coś pokazującego Araba. Padły krótkie komendy i cała karawana zatoczyła krąg. Chwila odpoczynku nastąpiła nieoczekiwanie. Wiktor i Lidka z wielką ulgą zeskoczyli z wielbłąda. Podeszli do małego zgromadzenia i przypatrywali się wszystkiemu z pewnej odległości.

– Wygląda na to, że garbus zachorował. Cały jest mokry, jakby miał gorączkę, a wywalony jęzor sięga mu do kolan.

– Szkoda go – ubolewała Lidia – mam wrażenie, że jest bardzo zmęczony.

Kilku mężczyzn zaczęło zdejmować pakunki z chorego zwierzęcia. Nikt na nim nie jechał, ale ilość towarów, jaką dźwigał, była bardzo znaczna. Dało się zauważyć, że Arabowie mocno przejmowali się wydarzeniem. Lamentowali, biadolili, drapali się po brodach. Przywódca grupy miał zapewne uzasadnione pretensje do odpowiedzialnego za zwierzę człowieka, że ten nie dostrzegł wcześniej objawów choroby.

Wiktor ruszył kilka kroków i wyciągnął rękę, aby pomóc w zdejmowaniu bagaży. Dwaj najbliżsi ludzie spojrzeli groźnie na niego, ale na znak przywódcy dali spokój. Złapawszy pakunek, zachwiał się i upadł na kolana. Nie spodziewał się, że w niewielkim tobołku może być coś tak ciężkiego. Zerwał się jednak na nogi i zaniósł go we wskazane miejsce. Zanim przepakowano towar, upłynęła prawie godzina. Wiktor, zlany potem, padł przy siedzącej na piasku Lidii.

- Wody! – zawołał.
- Masz, ale wypij tylko trochę. To zapas na dwa dni.
- Ten bukłaczek? Przecież tu nie ma nawet połowy zawartości. Pewnie ktoś wcześniej z niego już pił, no i ta skóra.

Łee!

- Dostałam go od niego – kobieta wskazała głową na przywódcę grupy – a na imię ma Abdul.
- Oni wszyscy to Abdule – odpowiedział ze zgryźliwością Wiktor.
- Wiesz co? Tak w świetle to nawet przystojny ten Arab. Wysoki, postawny, urokliwy w tej swojej szacie.
- I śmierdzący mieszaniną najmodniejszych perfum wielbłądzio-capich w wersji full wypas.

Podróż trwała jeszcze parę godzin. Słońce, nawet dla tubylców, piekło zbyt mocno. Gorąc, który lał się z nieba, był nie do zniesienia. Oboje jeszcze przed ruszeniem w drogę otrzymali galabije i chusty. Przywódca kazał im się przebrać. Teraz dopiero mogli ocenić, jak przydatny jest przy takiej spiekocie strój noszony przez Arabów. Skwar dokuczał niewyobrażalnie. Oczy bolały od blasku, a powietrze było tak suche, że parzyło przełyk przy każdym oddechu. Cały zapas otrzymanej wody wypili w przeciągu paru godzin. W końcu zarządzono postój i rozbito prowizoryczny obóz.

Wiktor poszedł na stronę. Nie miał siły, więc nawet ta zwykła czynność sprawiała mu wiele problemów i zajmowała sporo czasu. Czuł, że nagrany piasek parzy go, wsypując się do środka butów jak lawa. Dotknął dłonią ziemi: przypominała rozgrzany do maksimum kaloryfer. Była twarda, zbita, wysuszona i jałowa. Tylko tam, gdzie widniały wydmy, zapadała się, ale w większości nie przypominała piaszczystej pustyni. Jedna skorupa z niewielką ilością startej skały na powierzchni. Podczas całej podróży zaledwie w kilku miejscach zauważył sterzące niczym powbijane patyki pojedyncze rośliny cierniste. Suche, brzydkie, szare lub brązowe. Na sam widok już kłuły.

Z wielkim trudem powłóczył nogami w stronę miejsca, gdzie kilka minut temu pozostawił Lidię. Prowizoryczny baldachim z kawałka szmaty dawał odrobinę osłony. Plecami do niego przysiadł na stopach Abdul i mówił coś do siedzącej bokiem kobiety zapatrzonej w skraj padającego na stopy cienia.

Wiktor, pochylony, podchodził powoli, gdy nagle zauważył dużą popielatą ropuchę zagrzebaną w piasku. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała

skoczyć na plecy Araba. Kiedyś w ogrodzie rodziców otwierał studzienkę, aby włączyć wodę. Jakie było jego zdziwienie, gdy zamiast zaworu chwycił właśnie takiego obrzydliwego płaza. Żaby często chowają się w wilgotnych, zacienionych miejscach. W umyśle Wiktora pojawiło się pytanie: „Co taka wielka ropucha robi na pustyni?” Podszedł jeszcze dwa kroki, nim dotarło do niego, że to nie płaz, a gad. Wąż uniósł nieco łeb, cofając go. Teraz dopiero mężczyzna zauważył spiralnie naprężone ciało przygotowujące się do ataku. Nie było czasu na ostrzeżenie. Padł jak długi, łapiąc gada oburącz za głowę i przygniatając własnym ciężarem.

Arab, przekonany, że ktoś się na niego rzuca, odwrócił się błyskawicznie i jednym ruchem wydobyl spod galabii długi nóż w rodzaju kindżału. Wiktor trzymał węża ze wszystkich sił. Uniósł się na kolana i wyciągnął ręce przed siebie. Gad nawet w połowie nie zademonstrował swojej długości. Abdul jednym cięciem przeciął węża tuż pod dłońmi znieruchomiłego chłopaka. Ten czuł, że chociaż została mu w rękach tylko głowa i kawałek jego tułowia, gad nadal próbował wyrwać się z dłoni. Mężczyzna był sparaliżowany strachem. Paszcza z charakterystycznymi dwoma rogami nad oczami otwierała i przymykała się delikatnie. Chłopak mógł sobie tylko wyobrazić jadowe zęby, jakie szczyrzyły się nadal w kierunku Araba.

Po chwili wszyscy zbiegli się wokół nich. Wiktor z obrzydzeniem odrzucił węża jak najdalej od siebie. Teraz uzmysłowił sobie, że coś takiego widział kiedyś w telewizji: zmija rogata należąca do najbardziej jadowitych węży na świecie.

Abdul patrzył to na Wiktora, to na truchło gada. Po chwili schylił się, pochwycił je i wyciągnął z piasku metrowe cielsko.

– Będiesz miał kolację – powiedział do Europejczyka, który powoli próbował opanować strach. – Głowę zakopujemy. Nawet martwa jest zabójcza, jak się na nią nadeptnie. Taki duży okaz to rzadkość.

Postój miał potrwać jeszcze kilka najgorętszych godzin. Wiktor i Lidka otrzymali dodatkowy bukłak wody. Abdul, zgodnie z obietnicą, zabrał się za przyrządzanie gada. Arabowie rozmawiali głośno i namiętnie. Młodzi wyczuli, że omawiano dzisiejsze wydarzenia, a oni sami są głównym tematem rozmów. Jednak nikt nie zbliżał się do nich i nie nawiązywał bliższego kontaktu, niż tego wymagała sytuacja.

Abdul podszedł i usiadł koło małżonków. Przyniósł ze sobą placki, pieczonego węża i mleko. Szybko uporali się z przygotowaniem prowizorycznego miejsca na biesiadę. Zanim Arabowie zakończyli modły, Lidia

zgrabnie poukładała cały przyniesiony posiłek. Było tego sporo, a w szczególności pieczonego gada.

– Może zjedzą – Wiktor wskazał na węża i gromadkę mężczyzn siedzących we własnym gronie.

– Arabowie nie jadają węży – wyjaśnił Abdul – ale ja skosztuję, to rytuał, on chciał mnie zabić.

– Spróbuj – zachęcał Wiktor, wgrzyzając się w mięso – trochę przypomina rybę.

Czuł taki głód, że gdyby gad był o wiele gorszy w smaku, to i tak by mu smakował. Całą jego niedoskonałość kamuflowała zresztą bardzo ostra mieszanka przypraw z odrobiną oliwy.

Lidka nieśmiało ugryzła kęs, który popiła od razu wielbłądzim mlekiem.

– Hmm... Przypomina krowie, tylko bardziej zagęszczone. Kiedyś podobne podpłomyki jadłam w tureckiej knajpie – stwierdziła po spróbowaniu placków.

Rozmowa podczas posiłku była wymianą informacji.

Wiktor opowiedział, skąd są, jak doszło do katastrofy lotniczej. Młody Arab okazał się wykształconym w Arabii Saudyjskiej najmłodszym synem przywódcy klanu rodzinnego.

– Jak długo jeszcze będziemy wędrować? Czy tu nie ma jakiejś drogi lub kolei? Może powinniśmy jak najszybciej kogoś powiadomić? – dopytywał się Wiktor.

– Spokojnie. Znajdujemy się na najgorętszej z pustyń Sahary.

– To Sahara ma swoje pustynie? A dokładnie gdzie jesteśmy? Mieliśmy kierować się do Chartumu.

– My tam nie idziemy. Chartum to „długa trąba”. A Sudan to wielki kraj. Do Chartumu jest około osiemset kilometrów.

– Ile? – wykrzyknęli razem Wiktor i Lidia.

– Jesteśmy w północnej części Sudanu. Na północ mamy Egipt i Kair, jakieś tysiąc kilometrów. Na zachód leży Libia, a na wschód Morze Czerwone. W drodze do niego, za około czterysta kilometrów, trzeba się przeprawić przez Nil, a potem jeszcze drugie tyle.

Wiktorowi opadły ręce.

– Ale musi gdzieś być jakaś administracja, wojsko. O!

Przecież właśnie tu stacjonują jednostki UN! – ożywił się nagle.

– Tylko w Darfur. Osłaniają uchodźców na granicy z Czadem. To też daleko. Zanim byś tam dotarł, milicja zabiłaby cię.

– Jak to zabiła? Przecież są jakimś organem władzy.

– Najczęściej to grupy niewykształconych wieśniaków wyposażonych przez rząd w broń i maczety. Zaraz uznano by cię za szpiega albo, co gorsza, za dziennikarza – Abdul roześmiał się głośno, wyobrażając sobie jedną z takich sytuacji.

– Jesteś Beduinem? – zapytała Lidka.

– Nie, pochodzimy z plemienia Dżuhajniin, wraz z Dzaa□lijinami i Beduinami tworzymy grupę Arabów negrosemickich. U nas kobieta nie wtrąca się do rozmów mężczyzn.

– Wybacz mojej żonie, ale żyjemy trochę w innym świecie. Powiedz mi, co wy tu robicie na tym pustkowiu?

– Jak widzisz, zajmujemy się handlem.

– Różnorodności towarów to raczej nie macie. Do tego jesteście uzbrojeni, ale jakoś mnie to nie dziwi.

– Wiktor, większość rodzin zajmuje się tutaj transportem i handlem. Dróg, jak widzisz, nie ma, a i na piasku rosnąć nie ma co. Prowadzimy stały handel. Teraz akurat jesteśmy na szlaku i dostarczamy potrzebny towar młodzieży z Arabii Saudyjskiej.

– Mówisz o narkotykach?

– Jakich tylko sobie życzysz. To bardzo chłonny rynek. I bogaty.

– Myślałem, że sprowadzają z Pakistanu.

– Z Pakistanu, Afganistanu i wielu innych miejsc. Niezglobione są drogi Boga, którymi prowadzi oddane mu sługi.

– Dokąd więc jedziemy?

– Teraz wracamy z Libii. Za dwa dni dojdziemy do osady mojego ojca. On zdecyduje, co dalej. Na razie jesteś pod moją opieką i niczego się nie musisz obawiać. Potem ruszam dalej, a ojciec postanowi, co z wami zrobić.

– Rozumiem, ale może pojedziemy z wami dalej do jakiejś... nie chciałbym ciebie urazić, ale... cywilizacji.

– Wyglądasz na mądrzejszego, więc sam się nad tym zastanów. Ruszamy, zapada zmierzch! – Abdul szybko wstał i bez dalszych wyjaśnień poszedł poganiać pozostałych.

– Co on ma na myśli? Wiktor, mam dziwne przeczucia.

– Ten towar to nie tylko narkotyki. Jak im pomagałem, zauważyłem wojskowe pochodzenie opakowań. Moim zdaniem to materiały wybuchowe, może plastik lub C4. Myślę, że wystarczyłoby tego, aby wysadzić pół Warszawy.

– Słuchaj! To może uciekniemy? Weźmiemy wielbłąda, wodę i...

– Kochana, sama słyszałaś. Do czegokolwiek jest kilkaset kilometrów. My i teraz na wielbłądzie ledwie siedzimy, a już nie mówmy o ucieczce. Do tego każdy z nich ma broń. Sama widziałaś. Za kradzież wielbłąda by nas zabili albo pozostawili na tym pustkowiu na żer słońca. Na to samo by wyszło.

– Więc co? Mamy tak z nimi jechać?

– Na razie. „Cokolwiek zrobimy, możemy tylko sobie pogorszyć sytuację” – myślał Wiktor. „Jeżeli Abdul uznał, że uratowałem mu życie, na razie nam nic nie grozi. Inna sprawa to ojciec. Abdul najwyraźniej dał do zrozumienia, że jego władza kończy się z momentem dotarcia do osady. Dlaczego nie widzieliśmy żadnego samolotu? Przecież ktoś powinien rozpocząć poszukiwania. Katastrofa lotnicza to nie byle wypadek” – rozmyślał nad zaistniałą sytuacją. „A może Abdul ma rację, że to wielki kraj?”